



Rok VIII, nr 4 (31)

ISSN 1730-9581

Grudzień 2010

Sprzedaż łącznie z Nowym Łowiczaniem
i Wieściami z Głowna i Strykowa

Mała stacja na wielkim szlaku

Każdy, kto podróżuje koleją z Warszawy w kierunku Poznania, mijają po drodze za Łowiczem niewielką stację Jackowice, której nazwa niewiele mówi. Z okien pędzącego pociągu dostrzeże być może tylko charakterystyczny budynek z czerwonej cegły. W lecie stacja zdaje się być zagubiona wśród pól, w zimie zaś w śniegu, wietrze i mrozie.

Na szlaku drogi żelaznej

Jej dzieje są ściśle związane z Drogą Żelazną Warszawsko-Wiedeńską (DZW-W), jak oficjalnie brzmiała nazwa linii kolejowej, która w 1848 r. połączyła Warszawę z Zagłębiem Śląsko-Dąbrowskim i Górnym Śląskiem. Po połączeniu Królestwa Polskiego z Prusami przez Górny Śląsk rząd pruski zaproponował przeprowadzenie także drogi żelaznej z Łowicza do granicy i dalej w kierunku Bydgoszczy.

W październiku 1860 r. zawarto kontrakt z domem handlowym „Bracia Riche” w Brukseli, który zobowiązał się zbudować Drogę Żelazną Warszawsko-Bydgoską (DZW-B), liczącą 134 km w ciągu 2 lat! Urządzono 130 przejazdów, zbudowano 101 mostów różnej wielkości, rozmieszczono 131 domków dróżniczych oraz



Stacja kolejowa Jackowice - fot. współczesna ze zbiorów autora

siedem stacji (Pniewy, Kutno, Ostrów, Kowal, Włocławek, Nieszawa, Aleksandrów). Nowa linia kolejowa przecinała tereny ówczesnej gminy Bąków, a dokładnie wsi Jackowice. W dniu 3 grudnia 1862 r. arcybiskup warszawski Alojzy Feliński poświęcił w Łowiczu nową linię. Następnego dnia oddano do użytku publicznego całą „drogę bydgoską”.

Według „Rozkładu jazdy na Drogach Żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej”, z Warszawy do Bydgoszczy przez Skierniewice, Łowicz i Kutno kursowały

w 1862 r. tylko dwa pociągi: 7:45 oraz 17:00. Z Warszawy do Łowicza przez Skierniewice, bo innego połączenia jeszcze wtedy nie było, podróż trwała dokładnie 4 godziny i 5 minut, natomiast z Łowicza do Kutna 1 godzinę i 25 minut. Kolej bydgoska, jak ją powszechnie nazywano, prowadziła również przewozy towarowe. Specjalna instrukcja informowała, że „powozy, konie i inne zwierzęta, winny być dostarczone do ekspedycji na 2 godziny przed odejściem pociągu”. W ten sposób Łowicz i jego okolice otrzymały połączenie z innymi

zaborami, co przyczyniło się do rozwoju przemysłu i handlu tego regionu.

W 1890 r. droga wiedeńska objęła w posiadanie kolej bydgoską. Jej towarzystwo akcyjne przestało istnieć. W jego miejsce powołano natomiast „Drogę Aleksandrowską”, gdyż na terenie Królestwa kończyła się właśnie w Aleksandrowie, wtedy zwanym „Granicznym”, dziś „Kujawskim”. Nowe przedsiębiorstwo dysponowało znacznym kapitałem, gdyż kolej wiedeńska przynosiła ogromne zyski. Nic też dziwnego, że od razu przystąpiono do budowy nowych linii kolejowych. Dzięki temu powstała również stacja Jackowice.

Powstanie stacji

Stacja, a w istocie przystanek kolejowy Jackowice, została uruchomiona w 1893 r. Jej lokalizacja nie była przypadkowa. W zamierzeniu projektantów miała ożywić gospodarkę na zachodnich terenach powiatu łowickiego od Soboty po Kiernozię, które przez

dziesięciolecie znajdowały się w cieniu Łowicza i Kutna. Jackowice, a dzięki nim gmina Bąków oraz gminy sąsiednie, uzyskały bezpośrednie połączenie z jednej strony z Warszawą, a z drugiej z Toruniem i Bydgoszczą.

W 1893 r. zatrzymywały się tu dwa pociągi z Warszawy przez Skierniewice i Łowicz: o 11:59 i 16:44. Podróż trwała już tylko 2 godziny i 44 minuty. Do Łowicza natomiast zabierała dokładnie 22 minuty, do Kutna zaś prawie godzinę. Z Kutna pociąg dochodził do Aleksandrowa na granicy z Prusami. Stąd, jak informował w maju 1893 r. „Rozkład jazdy pociągów pasażerskich na drogach żelaznych w guberniach zachodnich”, było połączenie do Bydgoszczy, Berlina, Wrocławia, Paryża, a nawet Londynu! W ten sposób Europa już wtedy wkroczyła do Jackowic i okolic...

W 1890 r. rozpoczęto budowę kolei kaliskiej, która z Warszawy własnym torem kierowała się przez Błonie, Sochaczew, Łowicz i dalej Głowno, Zgierz i Łódź Kaliską do Kalisza. Nową trasę, liczącą 254 km, otwarto 15 listopada 1902 roku. Wraz z nią powstał w 1901 r. istniejący do dziś budynek stacji Jackowice, z bocznicą i magazynem. Sprzyjało to intensyfikacji produkcji rolnej, rozwojowi handlu i budownictwa, a także ruchu spółdzielczego.

Na początku lat 30. powstała kolejka wąskotorowa, która łączyła majątki ziemskie z okolic Kiernozi oraz gospodarstwa włościańskie ze Zdun czy Bochenia z cukrownią w Łyszkowicach.

dok. na str. II

Ze szlacheckiego rodu

Spśród osób korzystających z akt Archiwum Państwowego w Łowiczu coraz większą grupę stanowią genealodzy. Poszukują informacji o swych antenatach i to nie koniecznie wyposażonych w rycerskie barwy i godła. Zdarza się, że do archiwum trafiają osoby z zagranicy, których bliscy lub krewni mieszkali w Łowiczu nierzadko ponad sto, a nawet więcej lat temu. Chcą wejrzeć w dokumenty pozwalające ustalić dane metrykalne swych przodków, dowiedzieć się o ich losach, stanie majątkowym i pozycji społecznej.

Wizyta Rosjan

Przed dwoma laty zjawili się nieoczekiwanie w łowickim archiwum goście z Moskwy – kobieta w wieku około sześćdziesięciu lat oraz młody, wysoki mężczyzna z żoną i kuzynką. Początkowo porozumiewaliśmy się przez tłumaczkę,

ale z czasem coraz lepiej przychodziło mi samemu zrozumieć ich słowa wypowiediane przecież w języku, którego uczyłem się, a raczej uczono mnie od szkoły podstawowej. Okazało się, że głównym celem wizyty Rosjan w archiwum jest odnalezienie śladów pobytu w naszym mieście ich przodka Aleksandra Budziłowicza, ostatniego carskiego naczelnika powiatu łowickiego.

Jego postać była mi znana z archiwalnych kwerend, dlatego już na początku naszej rozmowy przyniosłem z magazynu dużą fotografię z uczestnikami jubileuszu trzydziestolecia łowickiej straży z 1909 r., na której pośrodku w mundurowym płaszczu był widoczny naczelnik Budziłowicz. Wywołałem tym spore poruszenie, bo jak okazało się, podobne, a może nawet identyczne zdjęcie było w posiadaniu rosyjskich gości. Gest mój został przez nich najwyraźniej odebrany za zachętę do opowieści o szlacheckim rodzie Budziłowiczów.

Ród Budziłowiczów

Według ustnych przekazów, ród ten miał się wywodzić od rycerza Budziły, który walczył w szeregach wojsk litewskich pod Grunwaldem. Najbardziej znany był Józef Budziło, pułkownik królewski, autor diariusza wojny moskiewskiej z czasów Zygmunta III. Zdobywał on Moskwę z hetmanem Stanisławem Żółkiewskim w 1610 r., by w dwa lata później po kapitulacji polskiej załogi Kremla trafić do niewoli, w której przebywał 7 lat. Jego dalekim powinowatym miał być Antoni Budziłowicz – ksiądz greckokatolicki z miejscowości Skidel pod Grodnem. To on był ojcem urodzonego w 1855 r. Aleksandra, który jako najstarszy z kilkorga rodzeństwa obrał karierę wojskową. Po ukończeniu szkoły juników w Wilnie wstąpił w lipcu 1876 r. na ochotnika do 101 permskiego pułku piechoty, wchodzącego w skład 1 brygady piechoty stacjonującej w Grodnie.

dok. na str. IV



Aleksander Budziłowicz z córką Heleną, 1890r. - fot. ze zbiorów rodzinnych Aleksieja Lewina z Moskwy

Bohater wojen napoleońskich

Mało kto wie, że na cmentarzu w niedalekim Belchowie spoczywają szczątki dziadka ze strony matki znakomitego malarza Józefa Chełmońskiego – kapitana Wincentego Łoskowskiego. Sylwetkę tego bohatera wojen napoleońskich przypomina Mirosław Figaszewski.

Wincenty Łoskowski urodził się w 1770 r. Po upadku powstania kościuszkowskiego został żołnierzem Legii Polsko-Włoskiej, która powstała na mocy dekretu cesarskiego Napoleona z 1807 r. w kilku miastach Śląska. Tworzyli ją żołnierze polscy powracający z Włoch i rekruci z Wielkopolski. Legia obejmowała ogółem 8750. ludzi, którymi dowodził gen. Józef Grabiński. Składała się z trzech pułków piechoty i jazdy w sile 1035. ludzi.

Dowódcą pułku ułanów, noszącego numer siedem, był pułkownik Jan Konopka i to właśnie w tym pułku Wincenty Łoskowski został porucznikiem. Pierwszą bitwę stoczył już 15 maja 1807 roku pod Szczawnem koło Wałbrzycha, rozbijając liczący 1360. żołnierzy oddział pruski dowodzony przez majora Losthina.

Pod koniec października 1807 r. Łoskowski opuścił ze swoim pułkiem Śląsk i przez Frankfurt, Kostrzyn i Berlin dotarł 11 listopada do Kassel, stolicy nowo utworzonego Królestwa Westfalii w północnych Niemczech. Tam 31 marca 1808 r. wraz z innymi pułkami przeszedł na żołd francuski. Powstała z ich połączenia formacja otrzymała nazwę Legii Nadwiślańskiej.

Oddziały Legii 1 czerwca 1808 r. wkroczyły przez przełęcz Roncesvalles do Hiszpanii. W Pirenejach miało miejsce pierwsze spotkanie Polaków z tubylcami. Hiszpańscy górale próbowali bezskutecznie ich ostrzeliwać

z dalekiej odległości. 7 pułk ułanów, gdzie służył porucznik Wincenty Łoskowski, wszedł w skład naprędce skompletowanego korpusu dowodzonego przez francuskiego generała Karola Lefebvre-Desnouettesa. Pod Tudelą w Nawarze w dniu 5 czerwca stoczył pierwszą potyczkę, zmuszając do odwrotu oddziały gen. don Jose Palafoxa. Niestety, na drugi dzień okazało się, co zapisał w swych pamiętnikach Józef Chłopicki, że konie „obficie nakarmione pszenicą znalezioną we wsi, nie nadają się do akcji. Polacy podejrzewali, iż pszenica została celowo zatruta, czego rezultatem było padnięcie dwustu koni, pozostałe były tak słabe, że nie nadawały się do walki”.

13 czerwca pułk wziął udział w starciu pod Mallen nad rzeką Ebro. Pięćdziesięciu ułanów uderzyło w brawurowej szarży na hiszpańską piechotę, tracąc tylko jednego oficera w nurtach rzeki. Według stanu z dnia 14 października 1808 r. pułk Wincentego Łoskowskiego liczył 36. oficerów oraz 750. podoficerów i żołnierzy. Polscy lansjerzy byli w nieustannym ruchu. To oni dbali o dostarczenie zaopatrzenia do obozu francuskiego, oni utrzymywali komunikację, oni też pełnili niewdzięczną służbę patrolową zwalczając oddziały powstańcze, które nękały pozycje francuskie.

28 marca 1809 r. pod Yvenes doznał pierwszej poważnej porażki, w wyniku wprowadzenia kawalerzystów w zasadzkę. Oto jak opisał to miejsce naoczny świadek wydarzeń, wachmistrz Kajetan Wojciechowski. „Była to pozycja dla kawalerii ze wszech miar niebezpieczna, albowiem jedyna droga prowadziła w zygzak przez górę, z której ani na prawo, gdyż niebotyczne wisiały skały nad głową, ani na lewo, bo przepaść pod nogami była, kroku w bok zrobić nie można było, a jednak tą jedyną drogą pozostawała nam rejterada na przypadek napadu nieprzyjaciela”.

Pułk Łoskowskiego utracił tam wszystkie furgony i bagaże, a co najważniejsze wszystkie sztandary, zdobyte jeszcze we Włoszech. W maju 1809 r. siódmy pułk wraz z naszym bohaterem przeszedł pod komendę marszałka



Nagrobek kapitana Wincentego Łoskowskiego na cmentarzu w Belchowie - fot. ze zbiorów autora

ka L. Sucheta, dowódcy trzeciego korpusu. Brał udział w oblężeniu Saragossy, miasta liczącego czterdzieści tysięcy mieszkańców, gdzie każdy kościół zamieniony był w twierdzę. Podczas toczonych tam walk, pułk stracił pięćdziesiąt procent swego stanu.

Za zasługi wojenne Wincenty Łoskowski otrzymał 11 października 1809 r. awans na kapitana. Następne jego bitwy, w których brał udział to: La Coruna 1809 r., Fuengirola 1810 r. i Rio Almanzur 4 listopada 1810 r. W tej ostatniej jego pułk wdarł się wspaniałą szarżą w centrum wojsk hiszpańsko-angielskich. Pod Alpuharą 16 maja 1811 r. wślawił się natomiast rozbięciem pułku dragonów londyńskich i trzech pułków piechoty angielskiej. Żołnierzy pułku Łoskowskiego określali Hiszpanie „piekiel-

nymi polskimi lansjerami” albo „lansjerami z piekła rodem”. W marcu 1812 r. siódmy pułk, a właściwie to, co z niego zostało, otrzymał rozkaz wycofania się z Hiszpanii. 22 marca polscy ułani dotarli do Paryża na prezentację walecznych i doborowych oddziałów przed samym Napoleonem. Z rozkazu cesarza dowództwo nad nimi zostało powierzone francuskiemu generałowi dywizji M. Clapartede. Polacy mieli być skierowani na wojnę z Rosją, którą planowano na czerwiec 1812 r. Po zajęciu Witebska w czasie kampanii rosyjskiej kapitan Wincenty Łoskowski poprosił ze względów zdrowotnych o zwolnienie z armii, które otrzymał 5 sierpnia 1812 r. W wielu czterdziestu dwóch lat powrócił do kraju. Ożenił się z Florentyną Orłowską i został właścicielem folwarku Polesie niedaleko Belchowa. W 1818 r. urodził mu się syn Feliks, a w 1824 r. córka Izabella Józefina, przysłała matka Józefa Chełmońskiego, najwybitniejszego polskiego malarza epoki realizmu.

Łoskowski zmarł we wsi Polesie o godz. 12 w południe 28 czerwca 1848 r., w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Świadcami jego śmierci byli: syn Feliks, mający 30 lat, właściciel folwarku w Kęszycach koło Sochaczewa i brat żony – Wincentego Jan Orłowski, zamieszkały w Polesiu, liczący sześćdziesiąt dwa lata. Nabożeństwo żałobne odbył w drewnianym jeszcze kościele ks. Michał Radkiewicz, proboszcz parafii Belchów, który pochował Wincentego na miejscowym cmentarzu.

Żona kazała wyrzeć na jego pomniku napis o treści: „Tu spoczywają zwłoki Wincentego Łoskowskiego b. kapitana b. wojsk polskich”, a u dołu: „Uprasza się przechodniów o westchnienie za duszę jego” Florentyna miała zapewne na myśli przyszłe pokolenia, które mogłyby odczytać napis, ponieważ w tych latach miejscowa ludność z małymi wyjątkami nie umiała ani czytać ani pisać. Od śmierci Wincentego Łoskowskiego minęły sto sześćdziesiąt dwa lata. Bohater wojen napoleońskich, który walczył czasem w niesłusznej sprawie w różnych krajach i żył nadzieją o wolnej Polsce, został całkiem zapomniany.

Mirosław Figaszewski

dok. ze str. I

Mała stacja na wielkim szlaku

Przebiegała ona w pobliżu stacji kolejowej Jackowice pod torem kolejowym w tunelu, który istnieje do dziś, choć wielu mieszkańców nie wie, po co! Jackowice stały się więc ważnym punktem transportu buraków cukrowych do cukrowni kutnowskich w Ostrowcu i Leśmierzu. Związane to było z tzw. boomer cukrowym. Uprawa buraka cukrowego była wówczas sześciokrotnie opłacalna niżeli żyta. Gospodarstwa księżackie systematycznie zwiększały jego uprawę. Wieś bogaciła się, zmieniając swoje oblicze urbanistyczne i społeczne.

Jackowice w rozkładach jazdy

W 1939 r. z Jackowic odjeżdżały 4 pociągi w kierunku Warszawy i tyleż samo w kierunku Kutna. Do Warszawy można było dotrzeć albo pociągiem osobowym, albo też pospiesznym, oczywiście z lokomotywą parową. Według „Urzędowego rozkładu jazdy i lotów” z maja 1939 r. pociąg zwykły, odchodzący z Jackowic o godz. 6:44, docierał do Warszawy po 2 godzinach i 39 minutach. Należy jednak pamiętać, że na większych stacjach, jak Łowicz czy Sochaczew, zatrzymywał się na 10 minut, a na mniejszych na 5 minut. Oprócz bowiem pasażerów przewożono towary, bagaże, paczki i listy. Natomiast pociąg pospieszny, odjeżdżający z Jackowic o 14:24, przyjeżdżał

do Warszawy Głównej o 16:03, a więc po 1 godzinie i 39 minutach, gdyż zatrzymywał się tylko w Łowiczu i Sochaczewie. Kursujący do niedawna na tej samej trasie pospieszny pociąg „Mazowsze” jechał natomiast tyle samo! Trasę Jackowice-Kutno pociągi pokonywały wówczas w ciągu 30 minut, a więc identycznie jak dziś. Było oczywiście mniej przystanków, ale i tak sprawność ówczesnych polskich kolei może budzić podziw.

W czasie okupacji niemieckiej Jackowice były ostatnią stacją na terenie Generalnego Gubernatorstwa; następna w Żychlinie (dawnie Pniewo) leżała już w III Rzeszy. Nic też dziwnego, że tu właśnie skupił się nielegalny handel, tu zatrzymywali się uciekinierzy z Rzeszy, a później z powstańczej Warszawy. Do Jackowic dojeżdżali też nauczyciele z Łowicza, a nawet Warszawy na tajne komplety gimnazjalne i licealne. Ze względu na swoje strategiczne znaczenie stała się celem polskiego ruchu oporu. Dokładnie 6 kwietnia 1944 r. oddział Armii Krajowej pod dowództwem Czesława Klimkiewicza wysadził w powietrze na granicy Zdun Wsi i Szymanowic pociąg wojskowy jadący na front wschodni. Na skutek przewrócenia się czterech wagonów ruch kolejowy został wstrzymany na 24 godziny. Koniec wojny był już bliski.

Znaczenie stacji Jackowice wzrosło po II wojnie światowej. Wokół niej powstały

magazyny miejscowego GS i łowickiej przetwórci owocowo-warzywnej (ZPPOW). Na bocznicę kolejowej trwał nieustanny ruch, wyladowywano węgiel, koks, materiały budowlane i nawozy sztuczne, załadowywano zaś produkty rolne. Powoli zabudowywały się tereny przystajacyjne, tworząc nową dzielnicę Jackowic.

Wielu mieszkańców ze Zdun i okolic dojeżdżało stąd do pracy w Łowiczu, Żychlinie, Kutnie, a nawet Ursusie i Warszawie. Z kolei młodzież przyjeżdżała specjalnymi, tzw. pociągami szkolnymi do zduńskich szkół średnich. Według „Sieciowego rozkładu jazdy PKP” w maju 1979 r. w ciągu doby zatrzymywało się tu 18 pociągów w kierunku Łowicza, w tym 14 bezpośrednio do Warszawy. Podróż do stolicy trwała wtedy 1 godzinę i 40 minut, a więc tyle, ile przed wojną! Jackowice miały też bezpośrednie połączenie z Łodzią Kaliską, Zduńską Wolą, Poznaniem, Bydgoszczą i Szczecinem. W tym też roku sprzedano 234 bilety miesięczne, zaś w ciągu doby przeciętnie 200 jednorazowych. Ta pozornie mała stacja przez całą dobę tętniła ruchem i życiem. Stąd wyruszali w latach 50., 60. i 70. absolwenci zduńskiego liceum ogólnokształcącego. Dzięki doskonałym połączeniom kolejowym wybierali studia nie tylko w Warszawie czy Łodzi, ale także Poznaniu, Olsztynie, a nawet Wro-

clawiu. Wiedzieli, że kiedyś wrócą w rodzinne strony, witani przez znany napis „JACKOWICE”!

Czekając na pociąg...

Przez lata niewielka poczekalnia stacyjna była miejscem spotkań towarzyskich, ustalania planów na niedzielę, czy letnie wyprawy nad Bzurę zduńskich studentów. Tu spotykaliśmy się niemal każdej niedzieli, wyruszając pociągiem pospiesznym o 16:30 do Warszawy Głównej. Wracaliśmy tu z reguły pociągiem odchodzącym o 18:27, który w Jackowicach był już o 19:50! Pociąg do Szczecina był często przepełniony, ale podróż do Jackowic można było spędzić... w wagonie restauracyjnym „Warsa”. Na stacji panowała rodzinna atmosfera, wszyscy się znali, byli życzliwi i przyjaźni. Zawiadowca stacji, pan Witold Kowalski budził respekt i szacunek już swoim wyglądem. Kasjerka, pani Irena Pisarska ratowała nas, kiedy zapomnieliśmy pieniędzy na bilet. Należność regulowali rodzice „przy okazji”. Nie było wtedy podziemnego tunelu, więc przejścia na perony pilnował pan Władysław Ciąbała, zapowiadając charakterystycznym głosem nadejście pociągu. Czasami pociągi opóźniały się, bowiem zawsze pierwszeństwo miały wyladowane ponad miarę pociągi radzieckie, oznajmiające swoją dominację charakterystyczną syreną. dok. na str. IV

Moja droga do szkoły

U schyłku życia często sięgamy do wspomnień. Zakodowane w pamięci, wracają z siłą nostalgii za młodością, która dla mojego pokolenia nie była ani piękna, ani życiowo łatwa. Miała jednak swoje uroki, chwile szczęścia i radości.

Janinów – moja rodzinna wieś, pięknie położona nad rzeką Mrogą, zachwycała swym urokiem, ale oddalona od wielkiego świata, tworzyła jakby zamkniętą enklawę, gdzie wszystko poza nią stanowiło tajemnicę. Nic też dziwnego, że czteroklasowa szkoła powszechna z jednym nauczycielem była jedynym ośrodkiem nauki i kultury.

Oddalony od mojej wioski o dwadzieścia kilka kilometrów Łowicz jawił się w wyobraźni kilkuletniego chłopca z lat trzydziestych ubiegłego wieku jako miejsce marzeń. Rodzice co pewien czas realizowali te marzenia, zabierając mnie na łowicki targ. Przygotowania do wyjazdu trwały cały tydzień. Najpierw należało przysposobić wóz do podróży, nasmarować koła, zreperować krypę, oczyścić koniki. Już po północy trzeba było odpowiednio załadować na wozie świnki przeznaczone na sprzedaż, obok w klatce kilka kurek, koszynek z nabiałem – jajka, serek, masło.

Wreszcie wyruszaliśmy. Turkotały żelazne koła wozu po brukowej szosie, a grzeczne koniki, kierowane lejcamy przez ojca, ciągnęły ten pojazd z siedzącą obok niego moją mamę. Wczesnym rankiem wjeżdżaliśmy w zatłoczony już tzw. „psi rynek”, prosto w gwar prowadzonego tu handlu. Żydzi i różni kupcy oblegali wóz, by utargować towar możliwie tanio. Olbrzymi rejwach handlowy z żydowsko-polską gwarą mieszał się z warkotem samochodowych silników, tworząc niezapomniany, egzotyczny nastrój.

Gdy już pozbyliśmy się kwicząco-gdakającego towaru, po obliczeniu gotówki, ruszaliśmy ulicą Zduńską na zakupy gospodarsko-osobistych potrzeb – obuwia, ubrania czy rolniczego sprzętu. Niemal wszystko, a już szczególnie ubiory, kupowało się u Żydów, którzy z perfekcją opanowali drobne rzemiosło i sztukę sprzedaży. Wojna i hitlerowska okupacja przerwały ten czas koegzystencji Polaków i Żydów.

po ukończeniu siedmiu klas szkoły powszechnej w Bielawach, za namową wychowawcy złożyłem w 1946 r. podanie o przyjęcie do Liceum Pedagogicznego w Łowiczu. Rowerm pojechałem na egzamin i późnym popołudniem wróciłem zmęczony do domu. Nie pamiętam dnia ani przebiegu egzaminu. Ważne, że zostałem przyjęty. Poklasktorny, odrapany budynek szkoły przy

ul. Stanisławskiego 31 robił na mnie wielkie wrażenie nie tylko swoją wielkością, ale również liczbą sal oraz okrężnymi korytarzami otaczającymi wirydarz. Ostatniego dnia sierpnia 1946 r. konnym wozem z całym uczniowskim ekwipunkiem, które stanowiło metalowe łóżko nabyte od sąsiada, siennik z pierzynką, kuferek z dykty i żywnościowe produkty, ojciec zawiózł mnie do internatu.

Internat był to duży, poniemiecki drewniany barak z dwiema salami, położony na zapleczu szkoły. W dużej sali zakwaterowani byli młodszy uczniowie, coś około 60. adeptów nauczycielskiego zawodu. Natomiast w małej salce mieściły się roczniki starsze, z przyspieszonym kształceniem (dwie klasy w roku). Łącznie w internacie zamieszkiwało ponad 100 osób. Łóżkowa ciasnota i metalowy piecyk (trociniak) pośrodku sali stwarzał prawie obozowe warunki życia, ale gorący entuzjazm młodzieży do nauki po długim okresie okupacji niwelował te bytowe niedostatki.

Poza nauką toczyły się zażarte dyskusje polityczne, często do późnych godzin wieczor-

August Hlond. Pasjonowaliśmy się sportem: wyścigiem Pokoju na trasie Warszawa – Praga lub bokserskimi meczami ZSSR – Polska. Cieszyliśmy się wygraną polskiego boksera Władysława Niewadziła z niepokonanym wtedy Korolewem. Naszymi idolami byli bokserzy: Antoni Kolczyński, Zygmunt Chychła, Antoni Czortek i Węgier Laszlo Papp. W naszej wyobraźni Stany Zjednoczone były krajem wszechmocnym i bogatym. Z nim wiązaliśmy przyszłość naszego kraju w ramach pomocy UNRA i planu Marshalla. Do szkoły napływały paczki z odzieżą i żywnością. Zawartość paczek rozdzielano dla ubogiej młodzieży, prawie 100 % w owym czasie. Pisaliśmy nawet listy do UNR-y o swoich potrzebach i marzeniach. Dowcipnisie dopisywali nawet prośbę o bombę atomową.

Rozwijała się szkolna działalność kulturalna. Prętnie działał chór pod dyr. prof. Wąsali, a następnie prof. Wyrozumskiego z muzycznym zespołem Janusza Kaźmierczaka, mojego klasowego kolegi, syna popularnego, łowickiego gawędziarza ludowego Wincentego

cjonowały jednostki Wojska Polskiego, a na Blichu Armii Radzieckiej. Słychać było częste przemarsze oddziałów ulicami miasta, odgłosy strzałów, wojskowych komend. Wszędzie spotkać można było polskich i radzieckich oficerów, a także żołnierzy frontowych z licznymi odznaczeniami bojowymi. Oprócz tych mundurów coraz częściej zaczęły pojawiać się cywilne osoby z tajnymi misjami. Jedne w służbie socjalistycznej władzy, inne przeciw niej. To młodzi Łowiczanie, druhowie harcerscy, członkowie „Szarych Szeregów”. To oni znikali cicho jak kamfora w wyniku pierwszych aresztowań lat 1945-1948. Był to widoczny znak tajnych służb, działających w interesie komunistycznej władzy, tuż przed zjednoczeniem lipcowym 1948 r. lewicowych organizacji młodzieżowych i powołaniem Związku Młodzieży Polskiej oraz przed grudniowym zjednoczeniem PPR i PPS i utworzeniem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – PZPR.

Władze stopniowo likwidowały przejawy wolności. Oznaką represji komunistycznego reżimu było rozbicie ruchu harcerskiego, prześladowanie członków ZMW, usunięcie lekcji religii oraz nowe programy nauczania historii ze szczególnym uwzględnieniem historii ZSSR i Komunistycznej Partii Bolszewików. Ich znajomość była przepustką do matury. Poemat pedagogiczny autorstwa Makarenki i pedagogika Kairowa stały się obowiązkową lekturą dla przyszłych nauczycieli. Partyjni działacze zaczęli nadzorować i kontrolować proces nauczania w szkołach. Tzw. czynnik społeczny, w założeniach tylko będący głosem doradczym, brał udział przy różnych szkolnych egzaminach, maturach, w posiedzeniach rad pedagogicznych, a nawet klasyfikacyjnych. Szczególną aktywnością w tym zakresie wyróżniali się członkowie szkolnych zarządów ZMP. Każde odstępstwo od wyznaczonej linii PZPR było surowo karane. Znane były w Łowiczu odsunięcia nauczycieli od wykładanego przez nich przedmiotu, przeniesienia na niższe stanowiska, a nawet zwolnienia z zawodu.

Polska na przełomie lat 40. i 50. XX w. wkraczała w apogeum komunistycznego reżimu. Zapelniała się więzienia patriotycznie myślącymi Polakami, trwały procesy przeciwstawiających się naporowi komunizmu. Każde wypowiedziane słowo mogło być pretekstem do aresztowania. Popularność zyskał wtedy dowcip o rozmowie dwóch więźniów. Jeden pyta: „Za co siedzisz?” „Za nic” - odpowiada drugi. „Za nic” - dziwi się pierwszy. „Bo nic nie wiem, za co ja tu siedzę” - pada odpowiedź.

W mojej ocenie rok 1948 był decydujący w rozpędzeniu się komunistycznej maszyny ludzkiego zniewolenia. Jego symbolem była śmierć mojego kolegi z internatu Liceum Pedagogicznego, harcerza maturzysty, Janka Piwowarczyka. W 1950 r. ukończyłem 18 lat i jako nauczyciel otrzymałem przydział pracy do szkoły podstawowej w Gałkowie k. Koluszek. Kończyłem drogę szkolnej edukacji, rozpocząłem samodzielne, dorosłe już życie.

Mieczysław Mikolajczyk



Klasa maturalna Liceum Pedagogicznego z 1950r. - w centrum po prawej dyrektor LP Krzysztof Pakulski, po lewej wychowawca klasy Józef Łapczyński, w górnym rzędzie po prawej autor, trzymający rękę na ramieniu Janusza Kaźmierczaka - fot. ze zbiorów autora

nych. Nauczyciele i wychowawcy zmuszeni byli uciszać tę rozgorączkowaną młodzież, szczególnie ze starszych roczników. Ścierały się różne poglądy polityczne dotyczące nowego ustroju, bowiem młodzież działała w różnych organizacjach np. sprzyjającym nowemu ustrojowi Związku Walki Młodych i OMTUR albo też wyraźnie nastawionych krytycznie do komunizmu Związku Harcerstwa Polskiego, czy Związku Młodzieży Wiejskiej.

Bezpośrednio po zakończeniu wojny było jeszcze sporo politycznej wolności. Władze komunistyczne były jeszcze słabe i nie odczuwało się zagrożenia ze strony organów bezpieczeństwa. Rozwijało się harcerstwo na przedwojennych, patriotycznych wzorach. W szkole były prowadzone lekcje religii. Na apelach i internackich uroczystościach szkolnych śpiewaliśmy pieśni religijne i patriotyczne, np. „Rotę”, czy też „Kiedy ranne wstają zorze”.

Ksiądz Władysław Wypych przygotowywał nas do sakramentu bierzmowania, a udzielał go podczas wielkiej kościelnej uroczystości na Starym Rynku, prymas Polski ks. kardynał

Kaźmierczaka z „Wesołego Autobusu”. Janusz grał na akordeonie, natomiast moją „specjalnością” była recytacja wierszy. Prawdziwie kulturalną przygodą były filmy: „Zakazane piosenki”, „Jasne Łany”, „Skarb” oraz radzieckie filmy wojenne wyświetlane w kinie Bzura. Od czasu do czasu chodziliśmy na smaczne domowe obiady wydawane w restauracji „Pod słońcem” na Starym Rynku.

Potrzeba odbudowy kraju i stolicy ze zniszczeń wojennych oraz przygotowywanie młodzieży do służby wojskowej spowodowały powstanie masowej organizacji „Służba Polsce”. Umundurowane szkolne pododdziały realizowały podstawy regulaminowe wojska, szczególnie naukę musztry i strzelania z karabinka kbk. Zajęcia prowadził prof. Józef Ziemiańczyk – były frontowy oficer. Dość często były organizowane wyjazdy pociągiem do odgruzowywania Warszawy. Do dziś pamiętam leżącą w gruzach stolicę, szczególnie Aleje Jerozolimskie.

Łowicz moich czasów przypominał trochę miasto przyfrontowe. W pobliżu szkoły sta-

dok. ze str. I

Ze szlacheckiego rodu

W stopniu chorążego, a następnie porucznika brał udział w rozpoczętej przez Rosję w kwietniu 1877 r. wojnie przeciwko Turcji. W czasie walk na Kaukazie był dwukrotnie ranny. Za odwagę okazaną na polu walki został wyróżniony w 1878 r. medalem św. Anny IV stopnia. Awansowany do stopnia kapitana pełnił następnie dwuletnią służbę w zarządzie kolei, sprawując pieczę nad transportami wojskowymi w Królestwie Polskim, zaś w lutym 1881 r. objął stanowisko naczelnika straży ziemskiej w powiecie gostyńskim.

Po siedmiu latach przeszedł do służby cywilnej, przyjmując obowiązki naczelnika powiatu gostyńskiego, a także na krótko niezawskiego i błońskiego. Postanowieniem warszawskiego generał-gubernatora Pawła Szucha z 30 marca 1896 r. został przeniesiony na stanowisko naczelnika powiatu łowickiego, które pełnił aż do wybuchu I wojny światowej. Od radcy kolegijskiego w stopniu sztabkapitana, przyznanego mu w 1888 r., doszedł w 1903 r. do tytułu *statskovo covetnika*, czyli radcy stanu, stanowiącej piątą w kolejności rangę, którą wymienia tabela urzędnicza ustalona jeszcze w czasach Piotra I.

Aleksander Budziłowicz był żonaty z młodszą o siedem lat Eugenią Tichonową. Miała ona polskie korzenie, gdyż jej matka Franciszka była Polką. Ze związku Aleksandra z Eugenią przyszła na świat czwórka dzieci – córka Helena, urodzona w 1884 r. oraz synowie: Antoni, który urodził się w 1887 r., Sergiej w 1889 r. i Jerzy w 1893 r. Imię najstarszego syna nie było przypadkowe. Tradycją w rodzinie Budziłowiczów pozostawało przyjmowanie na przemian imion Antoni i Aleksander. Tak więc, gdy ojciec miał na imię Antoni, to najstarszy jego syn musiał mieć na imię Aleksander, a ten z kolei dawał na imię swemu najstarszemu synowi Antoni.

Naczelnik we wspomnieniach

Naczelnik Budziłowicz cieszył się w Łowiczu dobrą opinią. W opublikowanych w 1929 r. wspomnieniach, wydawca i właściciel tygodnika „Łowiczanie”, Karol Rybacki, tak o nim napisał: „...był wzorem zarówno dobrego administratora, jak i uczciwego człowieka: na niejedno patrzył on przez palce i podczas rewolucji w 1905 roku ani jeden człowiek z łowickiego powiatu nie był wywieziony”. W okresie rewolucji miał rzeczywiście naczelnik powiatu sporo pracy. Zobowiązany był czuwać nad utrzymaniem porządku i posłuszeństwa wobec władzy, gdy tymczasem w mieście i okolicznych gminach były organizowane strajki i wiece przeciw carskim rządóm. Na domiar złego dwaj najstarsi jego synowie, którzy uczęszczali do łowickiej szkoły realnej, zaczęli sprawiać



Uczestnicy jubileuszu 30. lecia powstania straży w Łowiczu, 1909 r. pośrodku siedzi Aleksander Budziłowicz - fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łowiczu

mu poważne kłopoty. Na znak solidarności z większością polskiej młodzieży strajkującej w 1905 r. przeciw rusyfikacji, nie chcieli chodzić do szkoły i uciekali z lekcji przez okna budynku. Aby zapobiec temu, dorożka zawoziła pod eskortą chłopców z domu do szkoły, tam zaś na czas nauki zabierano im buty.

Inną, dość wymowną historię związaną z Budziłowiczem i okresem rewolucji przedstawił w swych wspomnieniach Franciszek Kazimierski z Bochenia. W czasie jednego z zebrań, które było prowadzone dla okolicznych włościan w 1906 r. przez Jakuba Kakietka – właściciela majątku Osiek i przyjaciela Władysława Grabskiego – w sali łowickiej resursy (dziś sala kinowa ŁOK przy ul. Podrzecznej), ulotki o treści antypaństwowej rozrzucili socjaliści. Na wieść o tym wkroczył do sali obrad z żandarmami naczelnik Budziłowicz, by rozwiązać zgromadzenie. Wypowiedzieć miał on wtedy zdanie: „Jak będzie Polska, to Grabski królem waszym, ale nie teraz”, które można by odczytać jako wyraz przynajmniej akceptacji dla dążeń niepodległościowych Polaków i przywrócenia własnej monarchii.

Kilka ciekawych szczegółów na temat rodziny Budziłowiczów usłyszałem niedawno od pani Edyty Jefimko, której prababka była pokojówką, a następnie kucharką w domu naczelnika. Zwyczajem Budziłowicza pozostawało nierozłączne poruszanie się po mieście w towarzystwie żandarmów, którzy mieli go ochraniać przed zamachowcami. Denerwowało to jednak jego żonę Eugenię, która nie chciała z nim nigdzie razem chodzić, gdyż czuła się niczym konwojowany więzień. Nie można wykluczyć, że przyczyną niechęci do wspólnych spacerów mogła być też pewna przykra dolegliwość, na którą cierpiał



Antoni Budziłowicz w mundurze kapitana 3 pułku strzeleckiego - fot. ze zbiorów rodzinnych Aleksieja Lewina z Moskwy

naczelnik, to jest częste puszczanie wiatrów. Problemy żołądkowo-jelitowe były, jak się przypuszcza, efektem ran odniesionych przez niego jeszcze podczas wojny rosyjsko-tureckiej.

Losy Antoniego

Najstarszy z Budziłowiczów – Antoni poszedł w ślady ojca i po ukończeniu ośmiu klas szkoły realnej w Łowiczu wstąpił do szkoły juników piechoty w Wilnie. W lipcu 1910 r., już w stop-

niu podporucznika 3 pułku strzeleckiego, pojął za żonę Ksenię Apalinę, dwudziestotrzyletnią nauczycielkę progimnazjum żeńskiego w Łowiczu. Ich ślub odbył się w dawnej kaplicy św. Karola Boromeusza, która od 1886 r. służyła za cerkiew prawosławną pod wezwaniem Jana Chrzyciela. W 1911 r. urodziła się im córka Barbara. W tym samym roku Antoni ukończył Mikołajewską Akademię Sztabu Generalnego, otwierając mu drogę do kariery wojskowej.

Zdaniem moich rosyjskich rozmówców, jeszcze w okresie pobytu w wileńskiej szkole juników miał on zaprzyjaźnić się z późniejszym marszałkiem Michaiłem Tuchaczewskim. Podobno byli oni obaj kierowani do warty honorowej wystawianej przy okazji wizytacji szkoły przez wyższych dowódców. Informacja przekazana mi przez Rosjan nie znajdowała jednak żadnego potwierdzenia źródłowego i wydała mi się mało prawdopodobna z uwagi na znaczną różnicę wieku dzielącą Budziłowicza i Tuchaczewskiego.

Wiadomo, iż w kilka tygodni po wybuchu I wojny światowej nastąpiła ewakuacja wszystkich państwowych urzędów w Łowiczu. Wraz z innymi rosyjskimi uchodźcami, miasto opuściła także rodzina naczelnika Budziłowicza. Jej dalsze losy nie są mi niestety znane. Z korespondencji prowadzonej z panem Aleksiejem Lewinem, dla którego Antoni Budziłowicz był pradiadkiem ze strony matki, dowiedziałem się, że część rodziny osiedliła się na stałe w Moskwie. Poważnie kontuzjowany w czasie wojny w nogę, pułkownik Antoni Budziłowicz nie wrócił po rewolucji do czynnej służby w wojsku. Kierował katedrą wojskowości w jednym z moskiewskich instytutów. We wrześniu 1937 r. został aresztowany i rozstrzelany 9 października na terenie dawnego poligonu strzeleckiego NKWD w podmoskiewskim Butowie. Dołączył do ponad 20 tys. osób rozstrzelanych w tym miejscu w wyniku stalinowskich czystek, w tej liczbie wspomnianego wyżej marszałka Tuchaczewskiego.

Ksenia Budziłowicz przeżyła dokładnie męża o 50 lat – zmarła w 1987 r. w Moskwie, osiągając równo sto lat życia. Spoczęła na starym moskiewskim cmentarzu Wwiedńskim przeznaczonym dla innowierców obok syna Aleksandra, który zginął mając zaledwie 20 lat podczas oblężenia sowieckiej stolicy przez Niemców w 1941 r. Czy jego śmierć oznaczała wygaśnięcie męskiej linii Budziłowiczów? Trudno powiedzieć. Być może żyją gdzieś jeszcze inni potomkowie tego starego rodu, który przecież nie tylko symbolicznie, ale przez wspólne, trudne czasem dzieje łączy Rosjan i Polaków. Marek Wojtylak

dok. ze str. II

Mała stacja na wielkim szlaku

Świetność stacji Jackowice skończyła się na początku lat 90. ubiegłego stulecia. Zaczęły wtedy upadać duże zakłady pracy w Łowiczu, Kutnie i Żychlinie. Rostało bezrobocie, niemal ustały dojazdy do pracy. Bocznica kolejowa i magazyny zaczęły świecić pustkami, powoli zmieniając się w ruinę. Również otoczenie stacji ulegało systematycznemu zniszczeniu, mimo, że parę lat wcześniej zbudowano podziemny tunel, wyremontowano perony. Dziś wszystkie wiaty na peronach są zdewastowane, a wszelkie możliwe miejsca pokryte obścienicznymi napisami. A co najważniejsze, coraz mniej pociągów tu się zatrzymuje. W grudniu 2008 r. już tylko 7 w kierunku Łowicza i tyleż w stronę Kutna. Nie ma też żadnego

bezpośredniego połączenia z Warszawą. Lata świetności minęły bezpowrotnie.

Stacja zabytkiem

Pozostał budynek stacyjny, jeden z zabytków architektury kolejowej przełomu XIX i XX w. Wzniesiony w 1901 r. jest utrzymany w tym samym stylu, jak podobne budynki na trasie Warszawa – Łowicz. Odróżniają się one ujednoliconym, a mimo to interesującym detalem architektonicznym. Zbudowane z czerwonej, nie otynkowanej cegły, mają otwory okienne i drzwiowe zwieńczone półpełnym łukiem, a także żabkowane gzymsy wieńczące. Mają zróżnicowaną bryłę, czym odróżniają się od wczesnych, „barokowych” budowli „wiedeńki”.

Zachowały się już tylko trzy tego typu budynki stacyjne: w Bednarach, Ożarowie Mazowieckim i właśnie Jackowicach. Tylko ten ostatni zachował się w pierwotnym stanie – z biurami, kasą i urządzeniami technicznymi na parterze oraz mieszkaniami personelu stacji na piętrze. Inne zostały przebudowane, albo też otynkowane zatraciły swe nieklamane piękno.

Stację Jackowice uwieczniła Maria Dąbrowska w opowiadaniu „Pielgrzymka do Warszawy”, wydanym w 1955 r. w tomie „Gwiazda zaranna”. Znakomita pisarka, która po Powstaniu Warszawskim znalazła schronienie w Dąbrowie Zduńskiej, opisała w nim trwającą trzydzieści godzin podróż właśnie z Jackowice do Warszawy na początku 1945 r. Nazwała ją „pielgrzymką do miejsca świętego świętych”.

Tym miejscem świętym była Warszawa, teraz spalona i zrujnowana. Wśród zgłiszcz ul. Mokotowskiej odnalazła powstańczy grób siostry Jadwigi, a na Polnej splądrowane i spalone mieszkanie. Wróciła po tygodniu, a podróż trwała tym razem trzydzieści sześć godzin! Pociąg zatrzymał się dwa kilometry za Jackowicami. Niewiele myśląc, autorka „Nocy i dni”, skoczyła w śnieg. „Zmarznięta i przemoczona, z oczyma zalepionymi śniegiem, na oślep wśród zadymki” dotarła do gościnnej Dąbrowy Zduńskiej. Ta podróż stała się metaforą losu Polaków wędrujących po zakończeniu II wojny światowej w poszukiwaniu dawnego życia, które zmieniło się „w cmentarzysko wśród ruin”.

Dobiesław Jędrzejczyk

ŁOWICZANIN - Kwartalnik historyczny. Dodatek do Nowego Łowiczana, sprzedawany wraz z tym tygodnikiem. Wydawca: Oficyna Wydawnicza Nowy Łowicz s.c., 99-400 Łowicz, ul. Pijarska 3A, tel./fax 46 837-46-57, e-mail: redakcja@lowiczanie.info Redaktor naczelny: Marek Wojtylak